



# Iza Klementowska SAMOTNOŚĆ PORTUGALCZYKA



## Azulejos

2009

Dom Rui miał wszystko i stracił wszystko.  
Angola wszystko mu dała i wszystko odebrała.  
Ale nie ma żalu. Tylko trochę mu w Portugalii za ciasno.

\*

Karim nie miał niczego i niczego nie stracił.  
Pakistan nie dał mu niczego i niczego nie odebrał.  
Żał ma. Głównie o to, że szczęścia i normalnego życia szukać  
musi tak daleko od domu.

\*

– Miałem dwadzieścia pięć lat, z werandy mojego domu  
rozpościerał się widok na całą Luandę – mówi dom Rui. – Nie  
byłem głuchy ani ślepy, widziałem, że nie dzieje się dobrze.  
Ale pomyślałem, że rewolucja nie nastąpi za mego życia.  
Dom Rui należy do *retornados*, czyli tych Portugalczyków,  
którzy urodzili się na terenie zamorskich kolonii portugalskich,  
a po Rewolucji Goździków w 1974 roku powrócili do kraju  
swoich przodków. Dom Rui był bankierem z dziada pradziada,  
prowadził jeden z oddziałów Banco Nacional de Angola  
w Luandzie. Myślał, że tak spokojne życie będzie wiódł po  
koniec swoich dni. I to mu pasowało. Tylko że niespodziewanie  
nastąpił koniec tego ułożonego świata.

\*

89

Karim urodził się rok po Rewolucji Goździków w małej wiosce  
niedaleko Gilgit w północno-wschodniej części Pakistanu. Do  
szkoły chodził na bosaka. Miał to szczęście, że do szkoły chodził.  
Bo całą wioską opiekowała się fundacja filantropa księcia  
Agi Chana. Karim należy do grupy The Ismaili 9 i twierdzi, że  
to dlatego władza kilkoma językami obcymi. I rzeczywiście,  
jest wygadany.

– To pomaga w interesach – uważa Karim. – Szczególnie tu,  
bo Portugalczycy uwielbiają rozmawiać. Gdybym był milczkiem  
albo nie znał języka, miałbym duże problemy w urzędach.  
Biurokracja jest tu ogromna. Mój czar jednak działa na  
portugalskie urzędniczeki. Ale na Portugalczyków już jakby  
mniej, bo gdy kupuję mięso, to mężczyzna zawsze sprzeda  
mi ochłapy, kobieta zaś wybierze najładniejsze kęski.  
Karim prowadzi mały hotelik przy Travessa Conde Soure 4.  
Trudno to nazwać inaczej, bo ma jedynie pięć pokoi w suterenie,  
których okna wychodzą na chodnik Rua de Sao Boaventura.  
O świcie każdego dnia przejeżdża tędy wóz zraszający  
jezdnię i kropelki wody dostają się do pokojów.

– Jeszcze ze dwa lata i przeniosę hotel gdzie indziej. – Karim  
wydawał się przekonany. – Krok po kroczeniu znajdę swój  
portugalski raj. I będę tak bogaty, że ściągnę tu żonę i córkę.  
Bo w Pakistanie, który kocham nad życie, nie da się mieszkać.  
A moja żona czeka na pieniądze.

\*

Dom Rui pamięta dzień, w którym angolskie escudo straciły  
wartość. Nie mógł tego zrozumieć. Całe jego życie toczyło  
się wokół pieniądza, obracał swoimi i obcymi, doradzał,  
9 To muzułmańska grupa żyjąca w dwudziestu pięciu krajach, zebrana  
wokół księcia Agi Chana, który wspiera społeczność muzułmańską na  
całym świecie, inwestując w edukację i służbę zdrowia w najbiedniejszych  
rejonach.

90

udzielał kredytów, wpłacał, wypłacał, przeliczał, chował do skarbcza i wiedział, co za ile może kupić. I nagle jednego dnia szedł kupić chleb, a za dwa dni ten sam chleb kosztował pięć razy więcej. Jednego dnia wiedział, jaką wartość ma srebrna zastawa sztucców przywieziona do Angoli sto lat wcześniej przez pradziadka, dwa dni później nikt nie chciał jej kupić. Bo po co komu sztucce, gdy nie ma co jeść? Jednego dnia cieszył oko ilością pieniędzy w skarbcu, dwa dni później nadawały się już tylko do spalania.

– To mnie autentycznie bolało. Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego coś, co wydaje się pewne jak śmierć, nagle zostaje pozbawione znaczenia – opowiada Dom Rui. – Ludzie oszaleli, zaczęli kupować złoto, diamenty, byle tylko pozbyć się pieniędzy, które staną się papierem na rozpałkę. To był dramat dla każdego. No, może poza osobami, które nie miały nic. Wtedy zrozumiał, że nic w życiu nie jest trwałe, i przestał się przejmować.

\*

Karima jako najzdolniejszego z rodzeństwa wysłano do Islamabadu, by nauczył się życia i zarabiał na rodzinę. Ojciec powiedział mu, że nie może paść owiec jak bracia. Jego los został przesądzony. Karim, wyjeżdżając z domu, zazdrościł trochę braciom, że mają święty spokój. Wychodzą rano z owcami, leżą cały dzień, co jakiś czas obserwując stado, i wracają wieczorem. Ale świat również go ciekawił, odkąd w jedynym barze w wiosce zobaczył telewizor. Pomyślał, że w Islamabadzie telewizorów będzie więcej.

– Hotel Marriott mnie ogłuszył – wspomina Karim. – Z cichej wioski wrzucono mnie w świat przepychu. Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego moja rodzina mieszkała w glinianym domu pięć razy mniejszym od najmniejszego apartamentu w hotelu. To wtedy zagryzłem wargi i postawiłem sobie cel: będę bogaty.

91

Był chłopcem na posyłki, ale gdy tylko mógł, podsłuchiwał zamożnych gości, głównie z Bliskiego Wschodu – Kuwejtu, Emiratów Arabskich, Arabii Saudyjskiej – i się uczył. Pieniądze otrzymane jako napiwki zbierał do szkatułki, do której matka zapakowała mu na drogę ćapati (pakistański chlebek w formie placka). Był pojętny i zasady działania hotelu chwycił w lot. Awansował najwyżej, jak mógł – został recepcjonistą. Już wtedy mówił po arabsku, angielsku i francusku. Ale wydawało mu się, że to za mało. I nauczył się jeszcze niemieckiego, bo Niemcy imponowali mu szczególnie.

– Było w nich jakieś dostojeństwo, duma i klasa połączone z nonszalancją. Jak taki naród mógł prowadzić wojnę? – Karim klepie mnie po ramieniu. – Natomiast Amerykanów nie znosiłem i do dziś mi tak zostało. Cały czas chodzili pijani i sprowadzali do hotelu prostytutki. Ja, muzułmanin, musiałem patrzeć, jak niewierny deprawuje nasze kobiety.

Karim nie rozumie, że kobiety oddawały się za pieniądze.

Wini za to Amerykanów. Za biedę w Pakistanie i całym regionie też.

\*

Dom Rui nikogo nie wini za to, co się stało.

– Taka karma. – Wzrusza ramionami. – Nauczka, żeby nie krzywdzić innych.

Sobie nie ma nic do zarzucenia. Zjawił się na świecie, gdy wszystko było już dokonane. Masakry tubylców przez kolonizatorów, handel niewolnikami, budowa miast na wzór europejski, wprowadzanie porządków białego człowieka. Chciał mieć spokój. Nie wtrącał się w politykę, choć rdzennym Angolczykom współczuł. Mieli swój kraj, ale we własnym domu zmuszani byli do wyzysku, prawie niewolnictwa.

– To typowe dla wielu Portugalczyków, liczy się tylko ich życie. I byle tylko to życie przeżyć w spokoju. Jak będzie, tak będzie. Niech inni pewne rzeczy zrobią za nas.

92

Angola była dla niego domem. Czuł się Angolczykiem z portugalskim rodowodem. Do wojska go nie wzięli z powodu krótszej o centymetr lewej nogi. Nie lubił mundurów. Gdy tylko mógł, omijał wzrokiem żołnierzy patrolujących Luandę. Bo byli dla niego jak skaza na pięknym obrazku. A był to czas, gdy wydawało mu się, że się zakochał. Dziewczyna pracowała w ciastkarni i pasowała do niego. On szczupłutki i wiotki jak laska wanilii, ona przypominała rumiane jabłuszko. I dlatego dom Rui w drodze do pracy kupował u niej pieczone jabłka w cieście. Bo zawsze były ze szczyptą wanilii.

– Do dziś, gdy czuję zapach pieczonego jabłka, kręci mi się w głowie. Z dwóch powodów: Glorii i woni spalonej ciastkarni.

\*

W Islamabadzie Karim przepracował cztery lata. Do domu jeździł co kwartał i co kwartał wyjeżdżał stamtąd coraz bardziej przygnębiony. Biedą i bezradnością. Z tego przygnębienia postanowił się w końcu ożenić. Wybranką była córka sąsiadów. Tak zostało zaplanowane w dniu jej urodzin i tak się stało. Miesiąc po ślubie Karim dostał propozycję pracy w hotelu Marriott w Dubaju z trzykrotnie większą pensją. Nie zastanawiał się. Obiecał żonie, że przepracuje tam rok i uzbiera w ten sposób pieniądze na wymarzony dom. Ale w Dubaju, przeglądając pewnej nocy internet, natknął się na kurs zarządzania hotelem organizowany we francuskim Biarritz. W Biarritz ktoś doradził mu, żeby z pomocą księcia otworzył hotel w Lizbonie, bo Portugalia to raj dla turystów. I dla kieszeni hotelarzy.

– Książę Aga Chan spytał tylko, czy jestem gotowy prowadzić własny biznes, i pochwalił mnie, że już nie chcę być wyrobnikiem – wspomina Karim. – Zbyt długo byliśmy niewolnikami Zachodu. – Westchnął.

Żona nic na to nie powiedziała, bo niedawno urodziła im się córka i cała rodzina zakochała się w niemowlaku.

93

Odwiedzinom nie było końca, więc mąż był żonie – przynajmniej na jakiś czas – zupełnie niepotrzebny.

– Przez pierwsze trzy miesiące w Lizbonie nie robiłem nic innego, tylko uczyłem się języka portugalskiego i zwiedzałem miasto. Mieszkałem w jednym z domów należących do organizacji Agi Chana, który od tej pory jest dla mnie niczym ojciec: surowy, ale dobry i sprawiedliwy. Mówił: „Musisz wykorzystać to, że Portugalczycy robią wszystko na pół gwizdka. Gdy oni pracują godzinę, ty pracuj cztery. Gdy oni jedzą obiad trzy godziny, ty jedz kwadrans. Wykorzystaj czas, który oni marnotrawią”.

I Karim tak robi. Gdy w portugalskim średniej klasy hotelu za noc zapłacimy około trzydziestu euro, u Karima wydamy

jedynie dziesięć.

\*

– Gdy Luanda umierała, ja kochałem. A Gloria dawała się kochać. Powoli. Szalałem z tej miłości i nie widziałem, że mój ojciec z dnia na dzień był coraz bardziej przerażony. Miał sześćdziesiąt lat, a był bezradny wobec agonii Angoli jak dziecko.

Jednego dnia chciał uciekać, drugiego chował cały dobytek do piwniczki z winami. – Dom Rui kręci głową na to wspomnienie. Codziennie słyszał nad głową kroki ojca, który ze strachu nie mógł spać. Chodził na swoim piętrze od okna do okna ze strzelbą i wypatrywał złodziei, dziwiąc się synowi, że nic go nie rusza. Dom Rui codziennie robił mu śniadanie, w drodze do pracy mijał domy sąsiadów, które pośpiesznie pustoszały. Najpierw znikwały samochody. Potem płoty i drewniane ogrodzenia. Potem huštawki i zestawy wypoczynkowe. Potem okiennice, za nimi poręcze werand, aż w końcu całe werandy. Dom Rui wolał nie zaglądać do środka, bo chciał pamiętać je takimi, jakie były, gdy mieszkali w nich właściciele. Pod koniec 1975 roku na ulicy, gdzie mieszkali, zostali tylko jego ojciec i on. Potem tylko on.

94

Pewnego wtorkowego wieczoru dom Rui wrócił do domu i zastał ojca siedzącego na sofie i oburącz mocno ściskającego strzelbę. Było cicho i dom Rui myślał, że ojcu w końcu udało się zasnąć. Gdy go dotknął, zrozumiał. W upalną noc był zimny jak marmur z tarasowej posadzki. Godzinę później przybiegł brat Glorii z krzykiem: „Moja siostra! Moja cukiernia! Wszystko płonie!”

– To był dzień, w którym skończył się mój świat. Glorii nie znaleziono w zgłiszczach sklepu. Nigdzie jej nie odnaleziono. Szukałem jej jeszcze miesiąc i musiałem wyjechać. Ludzie ginęli wtedy bez śladu. To była Afryka. Ale mój dom. Ja tu, w Portugalii, do dziś czuję się jak przyjezdny. Nie mam nawet grobów, które mógłbym odwiedzać. Ojca musiałem pochować, zgodnie z jego życzeniem, przy mamie, na cmentarzu Alto das Cruzes w Luandzie, obok dziadków i pradziadków. Oni zostali tam sami. I ja tu, też sam. Dlatego jest mi wszystko jedno.

\*

Karim lubi ludzi. Dlatego przygarnął z ulicy Anjuna z Nepalu i Julię wraz z córką Nilu z Uzbekistanu. Nie płacą mu za pokoje. Odpracowują na swój sposób: Anjun naprawia to, co wymaga naprawy, lub chodzi po zakupy. Julia i Nilu, gdy skończą sprzątać u bogatych Portugalczyków, sprzątają hotelik Karima. Julia gotuje wszystkim obiady, tylko nie kurczaka curry, który przypomina Karimowi Pakistan. Karim lubi pichcić go sam. Z pięciu pokoi dla gości zrobiły się trzy.

Karim mówi:

– Jestem biedny, ale są biedniejsi ode mnie. Anjun mieszka u mnie już pół roku i nauczyłem go przynajmniej tego, że nic mu nie przyjdzie z wałęsania się po ulicach. Pracować na siebie musi każdy. Anjun polował kiedyś na samotne zagraniczne turystki. Dwa razy wdał się w krótki romans i liczył na to, że te panie zabiorą go ze sobą do swoich krajów. One wyjeżdżały, a on wracał na ulicę.

95

Czasem Anjunowi zdarza się przyprowadzić do hotelu Portugalkę poznaną w pobliskim parku na Miradouro de Sao

Pedro de Alcântara. Ale te czmychają czym prędzej, widząc, że hotel do Anjuna nie należy. I Anjun wtedy płacze, że Portugalki są interesowne i liczą się dla nich tylko pieniądze. Zapomniał, że w Nepalu czeka na niego dziewczyna.

Karim jest wierny.

– W Pakistanie, gdy złożysz przyrzeczenie swojej kobiecie, to jest to najświętsza rzecz na świecie. Popęd seksualny można kontrolować. Ja widuję żonę co pół roku i jakoś bez seksu wytrzymuję. Mierzi mnie tu, gdy czasem widzę, jak się obściskują na ławkach w publicznym miejscu. Portugalczyki są bezpruderyjni i seks jest dla nich jak jedzenie: dostępny wszędzie i o każdej porze. Gdy przejdiesz się wieczorem po nabrzeżu Alcântary, to co krok spotkasz kobiety gotowe na wszystko, a zaparkowane samochody aż się trzęsą od seksu. To z tego seksu, z wiecznego pożądania wszystkie nieszczęścia świata.

\*

– Gdyby to rzeczywiście było tak proste, zrzucić wszystko na niezaspokojone pożądanie, to byłoby łatwiej – prycha dom Rui. – Jestem już w wieku, w którym mogę się bez seksu obejść, ale nawet w młodości nie miałem zbyt rozbuchanego temperamentu. To u nas rodzinne. Byłem jedynym dzieckiem swoich rodziców. Ale widziałem dantejskie sceny. Widziałem portugalskich żołnierzy, którzy rozsmakowali się w ciemnoskórych, bardzo młodych dziewczynach. Mój sąsiad miał służącą, która urodziła mu dwoje dzieci. Gdy przyszło wyjechać, zostawił ich w Angoli, bo bał się, co powiedzą na to krewni, którzy zgodzili się, żeby zamieszkał u nich w Portugalii. Miał na tyle przyzwoitości, że dom z całym dobytkiem zostawił dzieciom. Znałem też takich, którzy uważali, że ciemnoskóre stworzone są tylko po to, by gwałcił je biały.

96

Ale widział też sytuację odwrotną. Dwa domy dalej stał budynek, w którym żołnierze MPLA zrobili sobie tymczasową kwaterę. To był duży opuszczony dom z wielką kamienną-marmurową werandą, schowany nieco z boku, wśród liści bananowca.

Pod zasłoną tego bananowca przykuli do wielkiego łoża białą młodą kobietę. I co wieczór ją gwałcili. Co się z nią potem stało, dom Rui nie wie. Woli myśleć, że nigdy tego nie widział, że nie miało to miejsca, bo gdy wyobrazi sobie, że to samo mogło spotkać Glorię, to wolałby, żeby nie żyła.

– To nie jest sprawiedliwość dziejowa, chociaż tak wszyscy mówili. Zemsta i odwet za lata kolonializmu nigdy nie są dobrym rozwiązaniem. Ci żołnierze nie byli zwierzętami, choć tak pisano w gazetach. To kwestia własnego sumienia. I miłości.

Zna też takich, którzy założyli rodziny z Angolkami, pożenili się i zabrali je potem do Portugalii. Przez to też nie było im łatwo. Przyzwyczaić krewnych do nich. I odwrotnie – wytłumaczyć żonom, że w Portugalii żyje się inaczej. Wielu przestało tłumaczyć i jednym, i drugim. I wielu przestało nagle kochać. I jednych, i drugich.

\*

Karim czuje się w Lizbonie prawie jak u siebie w domu. Otwarcie mówi, że jest z Pakistanu i nie lubi Amerykanów. Nie lubi ich do tego stopnia, że rzadko się u niego zatrzymują. Bo Karim umie odmawiać noclegów.

– Zresztą – przyznaje – Amerykanie z reguły sami rezygnują już po pierwszej nocy, bo nie odpowiadają im warunki w moim hotelu. Zbyt ciasno, zbyt ciemno, zbyt arabsko. Nawet ściany portierni udekorowane są suknem przywiezionym z Pakistanu i po całym hotelu rozchodzi się woń typowo pakistańskich przypraw z garam masala – kminkiem, ciemnym kardamonem, gałką muszkatołową, kuminem – na czele.

97

Innych gości wita z otwartymi ramionami. Baczenie jednak ogląda każdego i po dziesięciu minutach wyrabia sobie zdanie. Na wszelki wypadek.

Karim porusza się po Lizbonie, jakby się w niej urodził.

Odkąd płynnie mówi po portugalsku, każdego ranka przystaje przy kiosku z kawą i różnego rodzaju ciastkami i rozmawia z każdym, kto chce słuchać. Lubi chodzić na Largo Trindade Coelho. Dosiada się wówczas do samotnych staruszków, którzy nigdzie się nie śpieszą, i opowiada o sobie. Czasem zdarzy się, że przesiedzi tak dwie godziny. Takiej uważności na człowieka nie spotkał nigdzie. Poza Pakistanem oczywiście.

– Portugalczycy są otwarci na inne kultury. Mam czasem wrażenie, że mnie wchłaniają. Nie przeszkadza im to, że jestem, jak mawiają Amerykanie, „brunatny”, a chyba nawet się cieszą, że to właśnie ich kraj wybrałem sobie do życia i tu płacę podatki. Po dyktaturze Salazara zostało w ich mentalności, że niechętnie wyjeżdżają poznawać inne kraje, ale chętnie się o nich uczą i słuchają. Taka ciekawość świata na odległość.

\*

– Bo i po co wyjeżdżać, kiedy wszystko ma się na miejscu? – pyta dom Rui. – Piękną pogodę, piękne krajobrazy, dobre jedzenie, rodzinę. Dla przeciętnego Portugalczyka nie jest ważne, by osiągnąć sukces w znaczeniu europejskim, czyli karierę i wielkie pieniądze. Chcemy po prostu dobrze i spokojnie żyć, i najlepiej, żeby nikt się nie wtrącał w nasze sprawy. Dom Rui od 1976 roku nie opuścił Portugalii nawet na dzień. Nie widzi powodu, dla którego powinien to zrobić. Cały swój angolski dobytek zamknął w dwóch niedużych walizkach. Zabrał tylko ubrania, rodzinne zdjęcia i niektóre książki. Remanent zrobił również we wspomnieniach – starał się zachować tylko te dobre.

Lotnisko w Luandzie przypominało poczekalnię śmierci.

Nikt się nie uśmiechał. Leżąc przed wejściem w tłumie

98

podobnych do niego, patrzył w słońce. Ślepnął na kilka chwil i wtedy czuł się szczęśliwy. Potem znów widział zrozpaczone rodziny, więc znów patrzył w słońce. I tak aż do zmroku przez trzy dni. W nocy po prostu zamykał oczy i udawał, że to wszystko sen.

W Lizbonie doznał szoku. Zatrzymał się u przyjaciela swojego ojca, który do Portugalii wrócił rok wcześniej i wciąż czuł się zagubiony. Gdy przejeżdżał obok portowego nabrzeża, widział afrykański smutek. Wydawało mu się, że wraz z połamanymi drewnianymi skrzyniami mającymi chronić dobytek *retornados* przywieziono również połamane ludzkie losy, bo oczy oczekujących na wydanie ładunków wyrażały jedynie przerażenie i strach.

Wieczorem dom Rui spojrział w lustro i zobaczył w swych

oczach to samo.

Zrozumiał, że musi żyć, tylko nie rozumiał po co.

Dlatego się nie przejmuje.

\*

Karim takich pytań sobie nie zadaje.

Karim wie, że życie jest dane raz. I każda jego chwila jest ważna i potrzebna.

Karim wierzy, że ludzie są po to, żeby sobie nawzajem pomagać.

I kiedy tylko może, korzysta z pomocy innych. Gdy otwierał swój hotelik, miejscowi prowadzący interesy w okolicy od razu przyszli spytać, czy czegoś nie potrzebuje. Afonso prowadził warzywniak i zaoferował, że na dobry początek – i na szczęście – podaruje mu po kilka kilo marchewki, kapusty, cebuli, papryki i pomidorów. António dostarczający towar do sklepu zaoferował swoją ciężarówkę, na wypadek gdyby Karim chciał kupić meble do hotelu i nie miał ich czym przewieźć.

Maria powiedziała, że pomoże sprzątać.

Karim myśli, że gdyby zdecydował się na Niemcy, nie otrzymałby takiej pomocy.

99

– Po 11 września 2001 roku nikt Arabów nie lubi. We Francji zamieszki, we Włoszech zamieszki, a tu nie liczy się kolor skóry, ale jakim jest się człowiekiem.

Chodzi po ulicach Lizbony z podniesioną głową. Siada obok nieznajomych na ławce w parku i nikt nie patrzy na niego krzywo.

Ma ciemny odcień skóry, ale są ciemniejsi od niego. Lubi siadać koło takich ciemnoskórych i wtedy pyta, skąd pochodzą.

– Portugalia to dla mnie wieża Babel. Z tą tylko różnicą, że mówi się jednym językiem. Angola, Mozambik, Gwinea Bissau, Timor Wschodni, Wyspy Zielonego Przylądka, Goa. Mam wrażenie, że to ostatnie miejsce na ziemi, na którym wszyscy mogą mieszkać obok siebie w zgodzie.

\*

– Portugalia jest jak *azulejos*. – Dom Rui nie ma wątpliwości.

– Płytki chronią dom przed wiatrem i deszczem. Ale też przyozdabiają go. Mogą opowiadać dowolną historię, a jeśli masz fantazję, możesz złożyć z nich własny obrazek. Na pierwszy rzut oka będzie się wydawać, że nic do siebie nie pasuje, ot, abstrakcyjny i karykaturalny obraz, ale gdy się przyjrzyysz, zobaczysz, że ma głębszy sens. Tak jest też z naszym narodem. Pozbieranym na nowo z różnych części świata, ale przez to wyjątkowym.

Dom Rui spogląda na popękane płytki zdobiące ściany domu, w którym mieszka, i się uśmiecha. To typowa składanka *azulejos* imitująca mauretański wzór. Tu i ówdzie płytki są już popękane, porysowane, ze zdrapanym lakierem, kilku w ogóle nie ma. Dom Rui gładzi je z czułością.

Przez pierwsze dwa miesiące po przylocie z Afryki chodził po Lizbonie i oglądał *azulejos*. Najbardziej lubi te w dzielnicy Alfama, bo wydaje mu się, że są najbardziej naturalne – przedstawiają zwyczajne sceny z codziennego życia. A on wtedy potrzebował prostych komunikatów. Płytki były statyczne.

Postaci na nich nie ruszały się, nic się na nich nie działo. Jak

100

zatrzymany kadr filmu. Spokój. Jeśli może wskazać coś, co pomogło mu stanąć na nogi po przyjeździe do Portugalii, to będą to właśnie *azulejos*.



Dom Rui zatrudnił się w banku. Był panem z okienka, ale w żaden sposób mu to nie przeszkadzało. Gdy inni rozprawiali o przyszłości kraju, on chodził na obiady samotnie. Nie chciało mu się słuchać. Rewolucji w swoim życiu miał już dość. Zyskał przez to przydomek „dziwak”, ale nijak go to nie ruszało.

– Nie ja jeden wolałem żyć w pojedynkę. Od czasu do czasu spotykałem się z równie samotnymi kobietami. Nie wiem, dlaczego przyciągałem zawsze te z dramatycznymi losami, może dlatego że podobne losy zawsze łączą? – zastanawia się. – Ale przekonany nie jestem, nigdy nie zdecydowałem się na założenie rodziny.

Chodził do pracy, kupił mieszkanie na kredyt, potem kupił samochód, potem go sprzedał, bo uznał, że to zbytek. Oglądał telewizję, czytał gazety, nie zgadzał się, żeby Portugalia weszła do Unii Europejskiej, a potem do strefy euro. Na pieniądzech się znał. Wiedział, że uderzy to Portugalczyków po kieszeni. Ale ma świadomość, że młodzi są zadowoleni z możliwości, jakie to daje. Na urlopy chodził co pół roku. Budził się, mył, ubierał, jadał, oddychał, żył z dnia na dzień. W ten sposób przeżył ponad trzydzieści lat.

Było mu wszystko jedno.

\*

Karim dostrzegł tę jego obojętność. Pewnego ranka jak zwykle przyszedł do kiosku na Largo Trindade Coelho na kawę i ujrzał siedzącego przy jednym ze stolików bardzo szczupłego mężczyznę. Ten mężczyzna patrzył w jeden punkt, ale zdawał się niczego nie widzieć. Miał przystrzyżone siwe włosy i kocią bródkę. Wyglądał jak posadzona na krześle rzeźba z szarego kamienia. Jakby ktoś zdjął z cokołu pomnik, który jest w pobliżu. Karim zatrzymał się przy stoliku obok i patrzył, zafascynowany jego bezruchem. Po półgodzinie nie wytrzymał i po prostu się dosiadł. Zaczął opowiadać o sobie. O tym, że w hotelu mało gości. O tym, że znowu zalega z opłatami. O tym, że żona ledwo już bez niego wytrzymuje. O tym, że tęskni za córką. O tym, że właśnie dzisiaj, kiedy miała przyjść kontrola z urzędu imigracyjnego, padł prąd w całym budynku. – To ja panu naprawię – odpowiedział dom Rui i podniósł się szybko z krzesła. – Jeśli pan chce, możemy pójść od razu. Znam się trochę na elektryce.

I poszli.

\*

– Czy znalazłem w Karimie syna, pytasz? – Dom Rui długo się zastanawia. – Na pewno znalazłem sens życia. Pomagać i być użytecznym.

\*

– Dom Rui to mój trzeci ojciec – mówi Karim zdecydowanie.

– Pierwszy to mój własny, pakistański, drugim jest Aga Chan, trzecim właśnie dom Rui.

## 2011

Chciałam zrobić Karimowi niespodziankę. Pojechałam do jego hoteliku, ale drzwi były zamknięte na kłódkę. Próbowałam się z nim skontaktować mailowo. Bezskutecznie. Dopiero po powrocie do Polski znalazłam w skrzynce list.

„Mój hotel znajduje się teraz niedaleko stacji metra Anjos, ma piętnaście pokoi, nie jest już w suterenie. Idzie mi coraz lepiej. Ale najważniejsze jest to, że sprowadziłem żonę i córkę. I mam już też syna. Dom Rui nie żyje. Miał zawał. Taki spokojny człowiek, a miał zawał”.